



Królestwo biurokracji

O Lancaster Co-housing, międzypokoleniowej wspólnocie w Wielkiej Brytanii, opowiadają:

Rosemary (69 lat), współzałożycielka i rezydentka

Susanna (25+), rezydentka

MOTYWACJA

Susanna: Przyjechałam do Lancaster z Niemiec na studia magisterskie. Kiedy zapytałam na uniwerku, gdzie najlepiej wynająć mieszkanie, powiedziano mi o co-housingu. Zaaplikowałam. Nie zamierzałam zostać tu długo, ale wsiąknęłam. Uwielbiam znać moich sąsiadów. Uwielbiam, że mogę zapytać na naszej whatsappowej grupie o książkę i zawsze znajdzie się ktoś, kto ją ma. Uwielbiam towarzystwo moich starszych sąsiadek. Dodaje mi to luzu. Kiedy staram się patrzeć z ich perspektywy, niewiele spraw zasługuje na dramę.

Rosemary: Ja z kolei zainteresowałam się co-housingiem, kiedy moja córka wyjechała na studia. Nie chciałam spędzić drugiej połowy życia w izolacji od



świata. Chciałam być otoczona ludźmi w różnym wieku, o różnych doświadczeniach. Dlatego szukałam międzypokoleniowej wspólnoty, w senioralnym co-housingu dostałabym kota.

POCZĄTKI

Rosemary: Od znajomego dowiedziałam się o grupie, która planowała wspólnotę w Lancaster. Byli bliskimi przyjaciółmi, którzy w 2005 roku postanowili razem zamieszkać. Potem zaprosili do współpracy znajomych i znajomych znajomych. Ja należałam do tej drugiej kategorii. Dołączyłam w 2010 roku.

Kiedy zaczynaliśmy budowę, byliśmy największym projektem co-housingowym w Wielkiej Brytanii – na 41 domów. Powodem były finanse. Musieliśmy mieć wystarczająco dużo mieszkań, żeby te szybciej wybudowane, mogły pójść na sprzedaż i opłacić resztę. Mieszkańcy wprowadzili się do pierwszych siedmiu domów latem 2012 roku.

ARCHITEKTURA

Rosemary: Naszym priorytetem był zrównoważony rozwój. Zdecydowaliśmy się na domy pasywne i energię z paneli słonecznych oraz z hydroelektrycznej instalacji na rzece.



Susanna: Domy są różne. Rosemary ma trzy pokoje, za to całe moje mieszkanie zmieściłoby się w jej salonie – to tylko 53 metry kwadratowe, najmniej w całym co-housingu. Dla mnie to bez znaczenia, bo w przestrzeniach wspólnych mam wszystko, czego potrzebuję i dużo więcej. Są tam pracownie artystyczne i rzemieślnicze, wspólne biuro, studio masażu, studio jogi, pokoje gościnne, sala zabaw dla dzieci, sala kinowa, scena, gdzie organizujemy koncerty i spektakle. Poza tym przestrzenie typowe dla co-housingu – wspólny salon, jadalnia, pralnia, wspólny ogród. Wszystko oczywiście zaprojektowane tak, by na siebie wpadać. Niedawno otworzyliśmy też sklep, w którym sprzedajemy ekologiczne warzywa i wegańskie produkty.

WSPÓLNOTA

Susanna: Co-housing jest gdzieś między komuną i tradycyjnym mieszkaniem. Mogę zamknąć za sobą drzwi, ale mogę też zaprosić sąsiada do zrobienia wspólnie czegoś wartościowego. Czy nasz co-housing jest za duży? To zależy, czego szukasz we wspólnocie. Jeśli chcesz intymności, bliskich więzi, to 70 osób cię przerośnie. Ale jeśli zależy ci na realizacji większych projektów, wtedy dobrze jest mieć taką grupę.

Rosemary: Nasz rozmiar od początku był wyzwaniem. Ta oryginalna grupa przyjaciół miała wizję tego, jak Lancaster powinno wyglądać, ale ona była nie do zrealizowania we wspólnocie 70 osób. Pojawiło się pęknięcie między



koncepcją a wykonaniem. Jeden z inicjatorów odszedł, bo nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierza projekt.

Rosemary: Ciekawe, że musiałam wprowadzić się wśród ludzi, żeby zrozumieć, jak bardzo doceniam swoją przestrzeń i samotność. Rozmawiałam o tym z innymi osobami, wiele osób czuje podobnie. Czasami wydaje mi się, że jesteśmy wspólnotą introwertyków. Dlatego świetnie zniosłam lockdown. Odpoczęłam od życia towarzyskiego i niekończących się dyskusji.

ORGANIZACJA

Susanna: Każdy z nas ma do odrobienia 3 godziny pracy komunalnej w tygodniu. Jesteśmy podzieleni na zespoły, które sprzątają, zajmują się ogrodem czy prowadzą warzywniak.

Rosemary: Jeśli chodzi o posiłki, to jest grupa, która je razem codziennie. My do niej nie należymy. Natomiast cała wspólnota zbiera się na posiłek kilka razy w tygodniu. Mamy do wyboru wegańską lub wegetariańską opcję. Gotowaniem zajmują się zespoły. Można do nich dołączyć i wtedy posiłek jest za darmo, ale można też zapłacić.

Susanna: Jesteśmy królestwem biurokracji.



Rosemary: To miejsce było zaprojektowane pod mikrozarządzanie (czyli zarządzanie oparte na wysokim stopniu nadzoru). Nasze życie wspólnotowe jest ustrukturyzowane do bólu, co pasuje ludziom, którzy lubią kontrolę, a przeszkadza bardziej wolnościowym. Przez lata wypracowaliśmy różne kompromisy. Na początku mieliśmy np. grupę dyrektorów, którzy zarządzali finansami co-housingu, ale kiedy zostałam wybrana na to stanowisko, od razu zasugerowałam, żeby je znieść. Udało się to przegłosować.

Susanna: Zakazy, nakazy, reguły. Chętnie pozbyłabym się kilku, np. zakazu grillowania przed domem. Albo zakazu oglądania telewizji we wspólnym salonie, który wynika z tego, że są u nas rodzice, którzy wychowują dzieci bez telewizora. Niestety to nie takie proste, bo decydujemy przez konsensus. W zeszłym roku mieliśmy fantastyczny pomysł, żeby postawić w ogrodzie piec do pizzy, ale upadł, bo jedna osoba uważała, że to dodatkowa emisja CO2.

Rosemary: To ciemna strona konsensusu. Zawsze na ringu zostaje jeden facet, który dyskutuje do ostatniej kropli krwi. A że jesteśmy dużą społecznością, te rozmowy trwają w nieskończoność.

Susanna: Aby w ogóle zwołać spotkanie wspólnotowe, potrzebujemy 30-osobowego kworum. To się zwykle udaje, choć nie zawsze. Na spotkaniu trzeba mieć poparcie sześciu domów, żeby przedstawić propozycję pod dyskusję. Debata, potem głosowanie. Jeśli jest konsensus, to tyle, a jeśli nie, wtedy od razu poświęcamy sprawie kolejną dyskusję i znów głosujemy.



W przypadku, gdy propozycja zostaje znów odrzucona, musi przejść „etap przeformułowania” i wraca do gry na kolejnym spotkaniu – jak w parlamencie. Cały proces potrafi ciągnąć się nawet trzy miesiące.

Susanna: Zgadza się w większości spraw makropolitycznych, takich jak Brexit czy zmiana klimatu, ale mikropolityka? Miewamy jatki. Uczę się odpuszczać, ale też stawiać granice. Czasem, kiedy jestem bardzo sfrustrowana, rozmawiam z moim dziadkiem, który jest adwokatem, zajmuje się prawami człowieka. Potrafi postawić mnie do pionu: „Susanna, czy ktoś tam łamie prawa kobiet? Zwierząt? Czy twoje prawa są łamane? Nie? To nie przesadzaj”.

Rosemary: Narzekamy, ale rozmawiasz z anarchistyczną frakcją Lancaster! Są tu też tacy, którzy kochają zasady.

WYZWANIA

Susanna: Co-housing bywa klasistowski. Zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, która jest skupiskiem wspólnot stworzonych przez ludzi z klasy średniej.

Rosemary: Zwykle białych.



Susanna: U nas większość osób należy do tej grupy. Tylko kilku dorosłych nie ma wyższego wykształcenia. Wykluczenie edukacyjne to coś, z czym się bardzo zmagamy.

Rosemary: Moim zdaniem, to nasza największa słabość.

Problem w tym, że założenie tego miejsca wymagało pieniędzy, dlatego na początku przyciągnęło osoby o określonym kapitale ekonomicznym i społecznym. Kiedy te osoby się wyprowadzały, chciały odzyskać swój kapitał, a że rynek się zmienił i nieruchomości podrożały, to oni też podnieśli ceny domów. Dziś niektóre są naprawdę drogie, kosztują po 250-300 tysięcy funtów. Nie wszyscy mieszkańcy są tak uprzywilejowani i nie każdy ma zaplecze kulturowe, które niestety często idzie w parze z pieniędzmi.

Susanna: Wiem, że dwie pary, które wynajmują tu mieszkania, wielokrotnie czuły się niekomfortowo w rozmowach z sąsiadami. Bo nie przeczytały tej ważnej książki, nie prenumerują „Guardiana”. Jedna z kobiet nie skończyła liceum i powiedziała mi, że wręcz raziły ją wypowiedzi niektórych osób. Nie wypracowaliśmy metody na integrowanie tych różnic w wartościowy sposób.

Rosemary: Ale wiele osób chce to zmienić, zakwestionować swój przywilej. Nie chcemy, żeby ludzie czuli się wykluczeni. Pamiętajmy, że ten projekt jest bardzo młody, ma ledwo kilka lat. Robimy zbiórkę, żeby kupić jeden z



domów jako wspólnota i wynajmować go na długie okresy, po stałych cenach. Bo dotychczas swoje domy wynajmowały tylko osoby, które się stąd wyprowadziły. A to oznacza stres dla najemcy, bo nigdy nie wiadomo, kiedy właściciel postanowi sprzedać dom. Wynajem jest bardzo ważny. Dzięki temu dołączają do nas młodzi ludzie, jak Susanna.

Susanna: Mieszkanie tutaj jest nieco droższe niż akademik. Płacę 400 funtów miesięcznie. Do tego dochodzą opłaty, różne w zależności od mieszkania. Ja płacę 41 funtów. To pieniądze na sprzątanie, serwis boilerów, elektryczności, pralnię, ubezpieczenie.

KONFLIKTY

Rosemary: Konflikty interpersonalne rozwiązujemy za pomocą tzw. metody otwartej przestrzeni (ang. open space technology), która jest elastyczna i pozwala na samoorganizację. Nie ma ram – uczestnicy spotkania na miejscu tworzą program oraz zasady. Większe konflikty – które u nas często dotyczą jedzenia – załatwiamy za pomocą tzw. kręgów naprawczych. To metoda oparta na komunikacji bez przemocy, w obecności facylitatora. I tak np. jeśli mamy problem z jedzeniem – nie jesteśmy zadowoleni z jego jakości, nie możemy się dogadać co do stylu czy diety – to zapraszamy kogoś, kto profesjonalnie się tym zajmuje. Ta osoba dla nas gotuje, a potem rozmawiamy o wartości jedzenia, naszych pomysłach, przyzwyczajeniach, potrzebach.



Susanna: Co-housing jest wyjątkowy nie dlatego, że spotka cię tu samo dobro. Zdarzyło mi się, że ktoś naprawdę przekroczył moje granice. Natomiast tutaj mamy narzędzia, żeby sobie z tym radzić. Rozmawiamy ze sobą. Nie uciekamy od kryzysów.

Ada Petriczko





